Nr. 5. Marzec. 1862.

WIENIEC



DWUTYGODNIK LITERACKI.

Wychodzi w Krakowie w połowie i na końcu każdego miesiąca w objętości najmniej 2ch arkuszy — do których raz w miesiąc dodają się tablice z krojami, wzorkami i deseniami. Prenumerata w miejscu kwartalnie 1 zł. 50 cen. w. a., półrocznie 3 zła.— rocznie 6 zła. — Dla prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie 2 zła.— półrocznie 4 zła.— rocznie 8 zła.—W królestwie pruskiem z przesełką pocztową: kwartalnie 1 Tal.,—półrocznie 2 Tal.,— rocznie Talary. — Prenumerować można w Redakcyi w Krakowie przy ulicy Różanej pod L. 417,— w Administracyi dziennika „Czas“ i w księgarni Baumgardtena. — Miejscowi odbierać mogą Wieniec w Ekspedycyi „Czasu.“— Listy niefrankowane nie przyjmują się.

Ogłoszenie przedpłaty na „WIENIEC“

Z dniem 1ym kwietnia r. b. poczyna się **drugi kwartał** istnienia dwutygodnika **WIENIEC.** Redakcya z każdym dniem wzrasta w siły pracujące, tuszy przeto, że również i każdy numer „*Wieńca*“ w wartości podnosić się będzie. By zaś z utylitarną jego stroną połączyć o ile to się da i ozdobę, Redakcya zamówiła za granicą wykonywane rysunki haftów, robót kanwowych, krojów i modelów, które jak dotąd raz na miesiąc do „*Wieńca*“ będą dodawane. — Ktoby zaś życzył sobie i ryciny *Mód paryskich kolorowane*, **to za dopłatą 1 zł. 25 cen. w. a. na kwartał**, także co miesiąc odbierać je może.—Przedpłata jak dotąd pozostaje: miejscowa **rocznie** 6 zł. w. a.— z przesyłką pocztową **na rok** 8 zł., **na pół roku** 4 zł., **na kwartał** 2 zł. w. a.— W królestwie pruskiem: **rocznie** 4 talary, **półrocznie** 2 tal., **kwartalnie** 1 tal.— **z modami** $6^1/_2$ talara.

Aby zaś szanowni Abonenci nie ponosili kosztów przesyłki pieniężnej, mogą przedpłatę na „*Wieniec*“ przesyłać w jednym liście zwrotnym wraz z przedpłatą na Dziennik „*Czas.*“

Redakcya uprasza o wczesne zamówienia tym celem, aby nakład zastósować mogła do liczby swych Abonentów.

☞ Tym zaś szanownym Abonentom, którzy do dziś dnia odbierają pismo: „*Wieniec*“ a przedpłaty nie uiścili, przypominamy spieszne nadesłanie takowej.

PRZEDWCZESNOŚĆ.

(Urywek pedagogiczny I.)

(Dokończenie.)

W chwili, w której wszyscy mówią i piszą tyle o tradycyach narodowych; kiedy umiemy niby to cenić prawdziwą ich wartość, bośmy przyszli wreszcie lubo z trudem do tego przekonania, że każda przyszłość koniecznie i bezpośrednio na obecności i przeszłości niby na podstawie opierać się musi; kiedy smutnem doświadczeniem nauczyliśmy się, że lekceważenie, że pominięcie tej kardynalnej prawdy, stało się główną przyczyną niemal wszystkich wyszpoceń i kalectw dzisiejszych społeczeństwa naszego, — w takiej właśnie chwili, my rodzice w dziwnem zapamiętaniu wyrzekamy, wypieramy się naszych rodzicielskich tradycyj, nie bacząc, że ojcostwo i macierzyństwo to fundament całej towarzyskiej budowy ludzkości, z pod którego usunąwszy grunt na którym on stoi, to jest zer-

wawszy z przeszłością, cała budowa padać się i rozsypywać musi.—Miejsce dawnej energii i jędrności wychowania, zastąpiła dziś romansowa jakaś exaltacya. — Dziecko przestało być dzisiaj dzieckiem, a stało się bożyszczem, celem admiracyi rodziców.—Dzieci rodzą się już dzisiaj mądre, dowcipne, gienialne. Maleńki bałwanek jeszcze postąpić o swojej mocy, jeszcze żadnego wyrazu złożyć nie umie, a już nad każdym ruchem jego, nad każdym głosem który wydać potrafi, unoszą się Mama i Papa, i drugim unosić się każą. Znajomi i nieznajomi, przyjaciele i krewni, chcą, czy nie chcą, muszą wielbić jego dowcip i rozum.— Tak więc od samej kolebki otacza dziecko atmosfera admiracyi, która potęguje się w miarę jego wzrostu. Mały gieniuszek buja sobie w niej swobodnie, jak tylko można najdłużej, a gdy nareszcie przyjdzie czas, w którym koniecznie zacząć go już czegoś uczyć wypada, ileż to obawy, ile niespokojności, aby czasem nauka wrodzonych zdolności w nim nie zabiła!... Ale w końcu trzeba się zdecydować na krok stanowczy.— Kto może, przyjmuje tedy domowego nauczyciela lub nauczycieli, — kto nie może, z największą obawą oddaje dziecko do szkół publicznych. Domowa znów nauka bywa dwojaka: albo malec uczyć się ma wedle systemu szkolnego i zdawać examina— albo uczy się tak sobie, żeby tylko coś umiał. — Do pierwszej kategoryi należą zwykle ci, którym koniec końcem zagraża potrzeba udania się do jakiegoś publicznego zawodu;— do drugiej ci, którym wszelka nauka systematyczna wcale ma być niepotrzebna, bo oni kształcą się *na obywateli*, to jest na takich, którzy mogą nic nie umieć, bo będą mieli majątek i pewne w świecie stanowisko. Ten ostatni, najnieszczęśliwszy sposób wychowania, kończy się zwykle paroletnim pobytem za granicą, najczęściej w Paryżu. Tam, młody panicz oddany w ręce Francuza, który dla miłości hojnie opłacanych franków schlebia jego zachceniom, uczy się potrosze wszystkiego, wyjąwszy to, co mu najbardziej potrzebne, co się do znajomości własnego kraju i jego stosunków odnosi. Trzebaż dodawać, że uczy się jeżeli nie wzgardy, to lekceważenia tego kraju, którego przeszłości nie zna, obecności nie rozumie, przyszłości nie przeczuwa?...Stare to i oklepane rzeczy, powie kto może. I my się na to zgadzamy; ale czyż nasza wina, że je ciągle jeszcze klepać trzeba?...

Samo z siebie wypływa, że wracający z Paryża kawalerek, staje się zaraz pożądanym obywatelem salonów;—że wszyscy, a najwięcej naturalnie rodzice, cieszą się jego paryskim akcentem, jego turniurą, jego pięknemi manierami itd.;—że chociaż potem jeszcze niekiedy bywa posłany na jakiś polski uniwersytet, na który uczęszcza jako *benevolus*, nie myśli wcale o nauce;— bo i jak tu myśleć o nauce temu, kto się już uczył w Paryży; kto swoich kolegów, ba, nawet i profesorów, uważa za istoty przynajmniej o cały stopień niższe od siebie w hierarchii stworzeń tego świata; kto w ośmnastym albo i dwudziestym roku życia stał się wyrocznią, ozdobą nietylko rodziny, ale całej pewnej koteryi?..... To już gotowiuteńki przedwcześniak salonowy!..

Nie tutaj miejsce zastanawiać się nad dzisiejszym u nas systematem nauczania publicznego;— to jednak pewna, że przy najgorszym nawet systemacie, publiczne wychowanie dla mężczyzny jest zawsze najkorzystniejszem, byle go podpierał lub równoważył pod pewnemi względami nadzór i rygor domowy.— Brak tego rygoru, niedołężność nadzoru, są dzisiaj największemi plagami publicznie kształcącej się naszej młodzieży.—W szkole uczą ją wielu rzeczy;— nie każdy się tego wszystkiego nauczy, ale każdy zachwyci ze wszystkiego po trochu; — ztąd wyradza się zarozumiałość, która w domowych stosunkach zamiast skarcenia i starcia, znajduje otuchę i podnietę.—Mama i Papa nie posiadają się z radości, że synek wie i śmiało *rezonuje* o tylu rzeczach, o których im się samym ani śniło; co on powie, jest dla nich ewanielią, której słuchają w niemym podziwie, — a jeżeli które odważy się kiedy rzucić jakie słówko ze swej strony, to tylko dla tego, żeby rozum ubóstwionego dziecka, bądź przed niemi samemi, bądź przed obcemi, w tem jaśniejszym okazał się blasku. Z początku popisy i admiracye te obracają się w zakresie naukowym — zwolna jednak przechodzą na pole zadań społecznych i politycznych. Ileż to razy nie zdarza się dzisiaj napotkać poważnych, zacnych i rozsądnych zkądinąd ojców, dysputujących na seryo z butnemi wyrostkami o najważniejszych kwestyach bieżących! Śmiech i płacz bierze naraz, gdy się słucha takiej dysputy: co tu powolności i zaślepienia z jednej, co zuchwalstwa i efronteryi z drugiej strony! — Młodzieniaszek zwykle zostaje górą, a papa z upokorzoną niby minką, ale z oczyma jaśniejącemi ojcowskiem szczęściem, zżyma ramionami, rozkłada ręce, i obracając się do obecnych, konkluduje: „Ha! cóż robić, darmo! Niech go Pan Bóg kocha, ma racyą!“ — Młodzik traktowany w ten sposób, utwierdza się coraz bardziej w wysokiem rozumieniu o sobie; siebie i podobnych sobie kolegów poczytuje za areopag kompetentny do rozstrzygania spraw całego świata; gardzi naturalnie rówieśnikami swemi pierwszej kategoryi; profesorów swoich uważa za wsteczników,—i oczywiście także się nic nie uczy;— bo i gdzież on ma mieć czas na naukę—on, który dzwiga na sobie brzemienne

wielką przyszłością losy ludzkości!... To gotowiuteńki przedwcześniak reformator *).

W jednej i drugiej kategoryi bywają naturalnie najrozmaitsze modyfikacye i kombinacye, wynikające z różnych ludzkich usposobień, stosunków i przypadkowych okoliczności. Wymienić je wszystkie nie sposób — a zresztą prowadzą one mniej więcej do tego samego rezultatu. Jest nawet wielu rodziców, którzy nie pochwalają tego *postępowego* trybu wychowania, widzą jego błędy i śmieszności, i radziby dzieci swoje poprowadzić drogą wskazaną przez rozsądek i prawdziwą, dobrze zrozumianą miłość rodzicielską. Ale próżne to usiłowania. Wiadoma rzecz, że dzieci niby gąbka wciągają w siebie każdą chorobę, a bodaj nie bardziej jeszcze moralną niż fizyczną. I ztąd to symptomata przedwczesności tak liczne, tak powszechne. Ztąd narzekania na dzisiejszą młodzież, na jej zarozumiałość, na brak w niej poszanowania dla wieku i doświadczenia.

Nie na młodzież nam narzekać, bo ona temu niewinna — ona tutaj raczej ofiarą niż winowajcą. My sami uderzmy się w piersi, przyznajmy do winy i poprawmy. Nie wracając się do metody monitora boćkowskiego, umiejmy jednak z godnością utrzymać rodzicielską powagę; dzieci nasze, dopóki są dziećmi, jako dzieci traktujmy; pilnujmy aby się uczyły, dopóki ich wiek temu sprzyja; choćbyśmy widzieli rzeczywiście znakomite ich w nauce postępy, nie unośmy się nad niemi, i przez prawdziwe do nich przywiązanie nie róbmy ich bożyszczami domowego ogniska, a spełnimy nasz obowiązek i doczekamy się istotnej z nich pociechy. Pamiętajmy, że jakie my pokolenie wychowamy, taka będzie przyszłość spółeczności, która po nas, a może jeszcze i za naszego życia nastąpi.—Treibhauzowe rośliny bawią wprawdzie na chwilę oko, ściągają ciekawość, mogą się wreszcie stać przedmiotem mniej lub więcej uczonej rozprawy — ale bogactwo rodzimej flory nigdy na nich nic nie skorzysta.— Nie róbmyż z dzieci naszych takich sztucznie wegietujących roślinek, ale pilnujmy naturalnego ich rozwoju, bo tym tylko sposobem wyrosną nam na wonne kwiaty, pożywne trawy i uzdrawiające zioła, które z pożytkiem ojczystą błoń naszę okryją.

Tyle co do samego wychowania,—a teraz w końcu jedna jeszcze uwaga. „*Natura horret vacuum*“ natura wzdryga się przed próżnią; jest to tak ogólne prawo, że wszelka próżnia powstała bądź to w świecie fizycznym, bądź w moralnym, zapełnia się natychmiast czemkolwiek, co się znajdzie na dorędziu.— Miejmyż to prawo na pamięci, i chcąc zapobiedz jego skutkom, dopełniajmy wszystkich obowiązków, jakie na nas wkłada stanowisko nasze jako *ludzi doźrzałych,* bo tym tylko sposobem nie dozwolimy tworzyć się moralnej próżni, w którą się *nieźrzała młodość* wdziera przedwcześnie.

*) Nie mówimy tutaj osobno o tych, co pobierają nauki w domu, wedle systematu szkół publicznych — ci bowiem zwykle w końcu albo idą do publicznych zakładów, albo jadą na dokończenie wychowania za granicę, i przechodzą następnie w jednę lub drugą kategoryą.

Rozpisaliśmy się nad zamiar szeroko, a jednak czujemy, żeśmy ledwie z lekka przedmiotu dotknęli.—Przewidujemy prócz tego, że wielu zdawać się będzie, żeśmy niektóre rzeczy w zanadto jaskrawych, niektóre w zanadto ciemnych przedstawili barwach,—my sądzimy inaczej.—Zresztą przyznając się do wielu braków i niedokładności wyznajemy, że artykułem niniejszym chcieliśmy przedewszystkiem zwrócić tylko uwagę powszechną na ten przedmiot, zdaniem naszem niezmiernej wagi,— a wzorem poety proszącego, aby czuły słuchacz resztę jego pieśni w swej duszy dośpiewał, prosimy rozsądnego Czytelnika, aby artykuł nasz w głowie i sercu swem dosnuł, uzupełnił, — a jeśli wola spisał to i dał do druku. Kolumny *Wieńca* z radością staną mu zawsze otworem.

G. C.

NOEMI IZRAELITKA,

powieść spółeczna.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz po balu, pani Rawska zapytała przy pożegnaniu Beniamina, czy nie chciałby powierzyć jej opiece swej wnuczki? przyrzekając, iż uważać ją będzie za należącą do rodziny— i przyszłość jej zapewni.

— Cenię wysoko delikatne słówko Wpani — i uznaję, że to wielki byłby honor tak dla mnie, jak i dla mojej Noemi, odrzekł rozrzewniony starzec, ale za żadne skarby świata z niąbym się nie rozstał!

— A przecież mój Beniaminie, w porównaniu tego, co ty dać jej możesz, byłoby to dla niej szczęściem, mówiła pani Rawska, nie tracąc nadziei, że Izraelita zważywszy całą korzyść materyalną, jaka z podobnego układu wynikłaby dla ubogiej jego wnuczki— da się nakłonić w końcu.

— Ona jest już zaręczona z synem bogatego kupca w Brodach, a może Pan Bóg dozwoli mi jeszcze choć tyle życia, żebym ją mógł wydać.

— Ty zdajesz się kochać szczerze i nas chrześcian, i tę ziemię uważasz za swoję ojczyznę— i pewnie nie wzdychasz jak wielu z twych wyznawców do białego grobu w Palestynie, ale pragniesz jak i my, złożyć kiedyś spokojnie twe kości tu gdzieś się urodził i wychował.

— Szanuję wielce wszystkich Wch panów—odrzekł znów kłaniając się Beniamin, bo mną nie poterają i są dla mnie hojni — miłuję tę ziemię, bo ona daje mi to, co mnie i memu dziecku do życia potrzebne: ziemniaki, cebulę, mleko i pszenicę na mace — ale bardziej jeszcze kocham moję Noemi— to moje złoto, moje brylanty, cała pociecha mojej starości — a drożej jeszcze nad to wszystko, zawołał z zapałem przykładając rękę do piersi— ważę sobie przykazania Jechowy!

Po tych słowach starca i ogniu fanatycznym, jaki błysnął przytem w oczach jego, pani Rawska przekonała się dostatecznie, że wszelkie usiłowania dalsze z jej strony byłyby tu bezskuteczne, gdyż Beniamin mimo szczerej przychylności dla ludzi naszego wyznania, za nic w świecie nie zmieniłby swego, ani zezwoliłby na to, żeby Noemi temu się sprzeniewierzyła — a podobnież nie byłby w stanie z nią się za życia rozłączyć. Obdarzywszy ich zatem oboje, co dla którego uważała być stósownem i dogodnem, pożegnała, przyrzekając pamiętać mimo tego o dziewczynie—a tak muzyk siwy opuścił dwór Miodowiecki, błogosławiąc jego mieszkańcom.

Po zimie nastała wiosna, a z nią i zwykłe znowu rolników zatrudnienia, z tą tylko od zeszłej różnicą, że nim przyszła pora zamknięcia lasu, pan Rawski kazał ścinać mnóstwo najzdrowszych buków na Wierzchowinie — a gdy wszyscy sądzili, że to czyni na złość, to jest żeby ukarać tych, co skargę na niego pisali, i zmusić ich do zwożenia ciężkich tramów w podwojnej ilości — on z pierwszym dniem wiosny, rozkazał zaprządz parę wołów do wózka i wywieźć się na sam szczyt góry, gdzie była płaszczyzna łysa, wolna od zarośla, a na środku tejże stawek, kilkadziesiąt kroków w szerz i wzdłuż mający, okolony dolną gęstwiną, której cień wieczny, wodom z deszczu napadanym nie dozwalał nigdy wyschnąć. W jednem tylko miejscu, gdzie naturalna grobla stawku o wiele była niższą, woda sączyła się wolno na dół wśród mchu i kamyków, zaledwo dojrzana— tam to Katarzyński z zapowiedzianymi kilkunastu najlepszymi siekiernikami i wszelkiemi potrzebnemi przyborami i narzędziami czekał już od dwóch godzin, łamiąc sobie uparcie ale napróżno swą niegrzeszącą jenialnością głowę, ażeby odgadnąć co to będzie.

Pan Michał zesiadłszy z wózka, rozkazał cieślom iść za sobą i okrążając powoli z nimi stawek, udzielał im swych uwag, plan swój ułożony wykładał tak jasno, że go pojęli od razu. Za chwilę, echa sztukających toporów rozległy się po lesie z towarzyszeniem szeleszczącej piły.

Pan Rawski pozostał dzień cały na Wierzchowinie, a przed zmrokiem stanęła na niższym brzegu stawu tama i szluza, wstrzymująca upływ wody naturalny. Później przebrano dla niej z góry spadek i koryto obszerniejsze. Drzewa ścięte w lesie i ogładzone z konarów pościągano na brzeg stawu, a po pierwszych kilkodniowych ulewnych deszczach lata, wody wezbrane przepełniły stawek, i waląc przez całą groblę w olbrzymich kaskadach, spadały po ścianie góry unosząc na dół z sobą leżące obok tramy, aż do samych stóp góry i do płynącego tamże niziną prosto na tracz kanału. Wtedy jedni podziwiali przemyślność pana Michała, inni szeptali z cicha, że się przeląkł komisyi; gdy nim powodowała jedynie chęć ulżenia tym zuchwałym buntownikom i oraz pomysł szczęśliwy, na jakich mu gdy trochę pomyślał, nigdy nie zbywało, w ułatwieniu sobie i robotnikom pracy.

Wreszcie żniwa, choć w tym lecie niezbyt bogate, i wakacye, ożywiły znów na kilka tygodni cichą okolicę. Władysław przybywszy do Miodowej, uprzyjemniał sobie czas ten błogi wraz z młodemi synami państwa Michałów: Stasiem i Emilem, to łowieniem na wędki smacznych pstrągów w kamienistej górskiej rzece, to łapaniem ptaszków pod sieci, lub polowaniem ze strzelbą na tłuste przepiórki i chróściele, to wreszcie konnemi wycieczkami w okolice; a że to umysł młodzieńczy w wieku poezyi, lubi zwykle gonić za czemś nadzwyczajnem i nieznanem, więc i on pozostawiwszy nieraz swych młodszych braci galopujących po równej drodze lub skoszonych łąkach, sam odbiegał ich daleko, zapuszczając się w samotne lasy i parowy, gdzie ledwo dostępna dzikość miejsca lub podanie ludowe, nęciły go nadzieją odkrycia jakichś szczątek dawnego zamczyska, mogiły lub przynajmniej grupy skał dziwacznej i malowniczej, o których opowiadanie podniesione i ubarwione jego poetyczną i ognistą wyobraźnią, dostarczały mu za powrotem do domu materyi do zajmujących rozmów z Emmą, a zarazem podawały sposobność ofiarowania jej pięknej wiązanki z polnych kwiatów i ziół dzikich, uszczkniętych na skałach lub w lesistej zarośli. Niekiedy w tych samotnych wędrówkach, rosnące przy drodze ziółko wysmukłe, pączek polnej róży, przez której krzaki cierniste koń jego lub on sam pieszo przedzierać się musiał wąziuchną i bystrą ścieżką, przypomniał mu lubą Noemi, obudził w nim chęć odwiedzenia jej i starego Beniamina, ale tym zachceniom stawały na drodze przeszkody. Raz, że to zadaleka byłaby wycieczka bez wiedzy stryjostwa, powtóre, że wiadoma mu stanowcza rozmowa co do Noemi, pani Rawskiej z Beniaminem, nie pozostawiała żadnej nadziei urzeczywistnienia pierwszych jego pomysłów i marzeń błogich, nawrócenia tej wiele obiecuj młodej du-

szyczki, a razem wykształcenia wyższego, jej nad wiek i stan dojrzałego i podniosłego umysłu. Gdy tak raz zadumany błądził na poczciwej Perle, siwej stryja klaczy, sam nie wiedząc jak i kiedy oddalił się o parę mil od Miodowej. — Perła stanęła naraz w miejscu, i podniósłszy głowę, zarżała wesoło. Władysław spojrzał w górę, i zobaczył obok malownicze wzgórze, porośnięte od dołu głogami tarniną, a ku szczytowi jego, z poza większych krzewin jałowcu, widno było szarą i omszoną skałę, kształt mającą wyraźny maleńkiej mieszkalnej chaty lub kaplicy z krzyżykiem kamiennym na wierzchu i drzwiami w przedniej ścianie — nad tą zaś, na samym szczycie pagórka, w cieniu starej gruszy czy innego dzikiego drzewa, siedział na ziemi starzec w szarem odzieniu, otoczony dziećmi, i coś im rozpowiadał ciekawego zapewne, bo siedziały tak cicho, jak wryte, nie odwracając oczu od oblicza starca, a nawet nie słyszały tententu ani rżenia nadchodzącej Perły. Ujrzeć tę skałę i siedzącą na niej gromadkę, zeskoczyć z konia, i uwiązać go u pierwszego silniejszego krzaka, a potem kilkoma skokami dostać się na szczyt skały po jej szkarpach i garbach, było dla ucieszonego tem odkryciem niespodzianem młodzieńca, dziełem kilku minut.— Drapiąc się w górę, postrzegł on, że ów pagórek i chatka w górze, i szczyt jego, było to wszystko jedna olbrzymia skała,— i wtedy przyszła mu na myśl dopiero pustelnia Zygartowicka, o której słyszał już był nie raz w tych stronach—jednak dawniej jako wyrostek, nie śmiałby nigdy tak daleko sam się zapuszczać w swych przejażdżkach.

Pozdrowiony uprzejmym ukłonem nadchodzącego młodzieńca pustelnik, odpowiedział pochwaleniem Boga, zaprosił go, ażeby spoczął obok na kamieniu, i prowadził dalej gawędę z dziatkami. Wykładał on im właśnie *dziesięć przykazań Bożych*, z taką jasnością, miłością i przejęciem, że zda się nietylko nieoświecone dzieciny prostaczków, ale kamień gdyby posiadał zmysł słuchu, byłby go wstanie pojąć i musiałby posłuchać! To też i młody Władysław, choć w burzliwym wieku młodzieńczym, po odbytym już pierwszym roku filozofii, która po wielu akademiach głoszona z katedry, zamiast umacniać w zdrowych zasadach płytkie umysły lub pół tylko słuchających tej nauki młodzików, zamieniała często w niedowiarków; on mając od dzieciństwa wpojone gruntownie przez pobożną i miłującą matkę zasady *Wiary*, a przytem i przykłady *jej* w czynie, szanował wszystko co *nią* tchnęło istotnie, lub w *jej* imieniu przemawiało. Z mimowolnem zatem zajęciem i uwagą, począł przysłuchiwać się opowiadaniom starca—i dopiero, gdy ten mówić przestał, Władyś postrzegł, że na boku ukryta za kołem dziatek siedziała i cicha Noemi; a choć pustelnik przestał już opowiadać, ona w słodkiej pogrążona zadumie, z oczyma w niebo wlepionemi, słuchała go jeszcze duszą, a myślą słów jego znaczenia szukała tam w górze.— Władysław podbiegł ku niej radośnie, przywitał ją, ugłaskał, a że groszy nigdy przyjąć nie chciała, mówiąc obojętnie: cóż mi po tem?.. więc podał jej bukiet z róż polnych i bławatków, uzbierany po drodze dla Emmy, który miał założony za słomianym kapeluszem. Noemi przyjęła go mile,— cicha radość rozweseliła jej wdzięczne oblicze, a po chwili powstawszy z ziemi, poszła ku pustelniczej chatce. Tu dopiero starzec dowiedział się od Władysława, że ta dziewczynka jest Izraelitką, bo ona przyszła tam po raz pierwszy właśnie z dziećmi wiejskiemi - i obawiając się, żeby ten *święty człowiek*, jak go wieśniacy nazywali, nie odpędził jej, gdy się dowie, że nie jest chrześcianką, trzymała się na uboczy. — Na tę wieść pobożny samotnik ucieszył się myślą, że łatwo uda mu się namówić młodą Noemi do przyjęcia chrztu św.; lecz przy dalszem opowiadaniu Władysia, tracąc tę nadzieję, zasmucił się i rzekł: Już to za życia starego trudno będzie, — ale po śmierci jego, ona musi być naszą bez żadnej wątpliwości.

Władysław dowiedział się od pustelnika, że ten służąc wojskowo w latach młodszych i przechodząc raz z transportem przez Zygartowice na Węgry, upodobał sobie już wtedy to miejsce, a gdy późniéj dotkniętemu nieszczęściami, świat zobojętniał całkiem, przywdział szatę pustelniczą i tu osiadł. Nie mogąc jednak żyć bezczynnie i bez pożytku bliźnich, przynęcił powoli do siebie tę gromadkę wiejskich dziatek, wykładał im pismo święte i stósowne dawał w rozmowach nauki. *)

Perła szarpiąc się i rwiąc kopytem ziemię, przypomniała jeźdźcowi, że słońce ma się już ku zachodowi, i trudno przed zmrokiem będzie zdążyć do Miodowej, od której nazbyt się podobnoś tym razem odddalili.—Zerwał się więc Władysław, żegnając pustelnika, a schodząc na dół prosił, by po drodze pokazał mu jeszcze wnętrze swej pustelni. Wprowadzony przez nizki otwór drzwi zastępujący, ujrzał dwie małe izdebki a raczej przegródki w skale; pierwsza z nich służyła za kuchenkę i sypialnią, a druga za kaplicę czyli modlitewnią samotnemu jej mieszkańcowi, jak to wskazywał klęcznik wykuty z kamienia, a nad nim mały ołtarzyk z krucyfiksem i wyobrażeniem Magdaleny Pokutnicy. — Tu wszedłszy, postrzegli

*) Wykład ten jego dziesięciu przykazań Bożych, odznaczający się dokładnością i jasnością, wydrukowany został w małej książeczce pod nazwą: „*Pustelnik z Podkamienia* czyli *10 przykazań bożych.*"

na ołtarzyku złożony ów świeży bukiecik, ofiarowany przed chwilą przez młodzieńca Izraelitce — ale jej samej już tam nie było.— Władysław rozrzewniony tą cichą ofiarą dziewiczego serca, wybiegł za nią, wołał, szukał, ale ona już była daleko— westchnął więc tylko z żalem mimowolnym popatrzywszy tęsknie w stronę gdzie odeszła, a gdy powrócił pożegnać pustelnika, bukiet Noemi stał już przed krzyżem w dzbanuszku pełnym świeżej wody. Bo Zbawiciel chodząc po ziemi, i na krzyżu nawet nie gardził przecież wyznawcami innych religij— więc i pustelnik wierny sługa Jego, uszanował szczerą ofiarę Izraelitki, a żegnając Władysława, rzekł do niego: „W całej postawie tej izraelskiej dziewicy, widne jest działanie Ducha Bożego— szkoda, że nam znikła tak prędko; a jeszcze więcej boleję nad uporem i zaślepieniem tego jej dziadka, co jest zaporą do jej szczęścia prawdziwego.—Ale już to niezmordowanem staraniem mojem będzie, czuwać nad tem zdaleka, żeby, gdy starzec zamknie oczy, wydobyć ją z tej żydowskiej opieki i zamienić w chrześciankę."

Gdy Władysław dosiadłszy konia, poczwałował żwawo z miejsca, pustelnik sam znowu pozostał, odmawiając wieczorne pacierze, wśród ciszy pustyni; obok świętych wyobrażeń jakiemi myśl jego w tej chwili była szczerze przejęta, obraz tej niewinnej i dziwnej nam Noemi, wkradał się pomiędzy nie, zdaleka i nieśmiało, jakby odbicie w czystych wodach jeziora, a nawet po przespanej nocy, to odbicie tak się w duszy jego powtarzało mimowolnie i po kilka razy na dzień, że starzec z wyraźnem utęsknieniem i niecierpliwością oczekiwał następnej niedzieli, w nadziei, że mała Izraelitka pojawi się znów u stóp pustelni w gronie młodych pastuszków, dla korzystania z jego nauk. Ale próżne były niestety! oczekiwania i pobożne starca życzenia i zamiary. Noemi nie pokazała się więcej; bo dziadek, jak mówiły wiejskie dzieci, zakazał jej surowo odchodzić od domu tak daleko, a przytem i krewni jego, uważając w dziewczynie wzrastającą coraz więcej ową sympatyę do niemiłego im wyznania, poczęli także śledzić ją i pilnować.

Ileż to razy badacz głębszy, lub miłośnik tylko przyrody, w samotnych przechadzkach swoich postrzeże wśród brudnego bagna, rosnący polny kwiatek, którego niewinna barwa i cudne kształty, jako wzór doskonały estetycznego piękna zajmą całą jego uwagę — i odtąd zwracając w tę stronę często swe kroki, pieści się i rozkoszuje jego cichym wdziękiem, podczas gdy inny przechodzi obojętnie, odwracając oczy ze wstrętem od niemiłej moczary, nie dostrzegłszy nawet kwiatuszka;— drugi nareszcie prostak, wiodąc konia do wody, zdepcze go całkiem jako rzecz nie mającą dlań najmniejszej wartości, jak zwyczajną trawkę lub polne ziele....

IV.

I znowu upłynął rok szczęśliwie na jednostajnem spokojnem życiu, ale to podobnoś rok już ostatni owego błogiego arkadyjskiego życia; przynajmniej w cichym wątku czyli na scenie naszej powieści zastały znaczne odmiany. Najprzód pan Alojzy zakochany na seryo, począł jako konkurent zajeżdżać do Miodowej.—Potem Noemi znikła gdzieś bez wieści—a stary dziadek umarł niewiedzieć czyli z tęsknoty za nią, czy ze starości. Mimo wszelkich usiłowań jednych, ciekawości tylko prostej drugich osób w okolicy, nie można było nic prawdziwego się dowiedzieć; — domyślano się jednakże, że to krewni wywieźć ją gdzieś musieli dla obawy, ażeby po śmierci dziadka nie dala się namówić do przyjęcia chrztu świętego.— W schludnym domku poczciwego Beniamina, osiadł już żyd inny, typ istny fanatycznej kasty *hasydymów,* i wielki chrześcian nieprzyjaciel— na ich też zgubę szynk tam założywszy, szczególny dar posiadał znęcania doń ludu wiejskiego, pomiędzy którym co do zniknięcia nagłego Noemi krążyła wieść taka: że w pogodnym dniu czerwcowym, dziewczynka w godzinach rannych pasąc znowu owce w bliskości owej kamienistej kępy, pozostawiła je na dole, a sama wybiegła na kępę i usiadłszy na brzegu, oddała się z całą rozkoszą swym ulubionym cichym dumaniom — a może też duch jej w tej chwili wolen od świadka i wszelkich przeszkód ziemskich, tem swobodniej z Bogiem rozmawiał i wzbijał się ku niemu na lotnych skrzydłach niewinnej myśli i dziewiczej wyobraźni. Z bielejącego na równinie za gajami olszowemi, z błyszczącym krzyżem kościoła, dolatywał śpiew dzwonów, to głośniej, to ciszej rozlegający się w przestworzu— na ten odgłos, gromady białego ludu snując się wolno rozmaitemi ścieżkami, to przez kwieciem pokryte łąki, to wśród zielonych łanów zbożowych, poczęły przyspieszać swój pochód.— Noemi nie mogąc oprzeć się także niepojętemu jakiemuś uczuciu i pociągowi, zapomniawszy o swych owieczkach, zbiegła na dół, i przyłączyła się niepostrzeżona do jednej takiej, tamtędy właśnie przechodzącej gromadki, a z nią też weszła do kościoła—i tam ukryta za drzwiami, przyglądała się z niewypowiedzianą rozkoszą uroczystemu nabożeństwu, — gdyż to był właśnie dzień *Bożego Ciała.*

Zadzwoniono na *podniesienie,* lud wszystek padł na kolana, umilkł śpiew i organy, których głos tyle przemawiający do każdej prostej a pobożnej duszy, łzy rzewne wycisnął z niewinnych ocząt Noemi, i z nim nie oswojoną, wprawił w stan

bezprzytomnego prawie uniesienia— gdy głos ludzki dobrze jej znajomy, przywołał ją do pamięci cichem zapytaniem: „A ty dziecko co tu robisz?“ Wtedy Noemi postrzegła dopiero klęczącą obok niej starą wieśniaczkę Maryanuę, która od lat wielu, każdy dzień sabatu przychodziła najmować się do posługi u jej dziadka. Przelęknione tem spotkaniem i zapytaniem, dziewczę w pierwszej chwili przyłożyło w milczeniu palec do ust, a potem złożyło rączęta na znak prośby, ażeby ją Maryanna nie zdradzała;— lecz po chwili uspokojona łagodnym wyrazem oblicza niewiasty, przechodzącym stopniowo w rzewność i politowanie na widok tej anielskiej prawdziwie postaci, Noemi uklękła obok niej na posadzce i tak pozostała już do końca nabożeństwa. — Ukończyła się wreszcie uroczysta suma, ksiądz odszedł od ołtarza, a cichy szmer modlitwy oczekującego na procesyą ludu, szelest chorągwi, zapach ziołowych wianków i tataraku, zdawały się istotnie składać na całość tej chwili, kiedy Bóg miłujący, widzialny tylko dla oczu duszy miłującej Go także, zejść miał z nieba na ziemię...

Maryanna po skończonej procesyi, zabrała z sobą Noemi i przedsięwzięła odprowadzić ją do domu, a przed Beniaminem powiedzieć, że dziewczynka była u niej w chacie — lecz nieszczęście chciało, iż przechodzący właśnie dwaj żydzi handlarze skórek, ich znajomi, spotkali je na wychodnem z kościoła, mówiąc: że dziadek strapiony i zagniewany szuka jej wszędzie — bo owce, które samopas odeszła, weszły w cudzy owies, gdzie narobiwszy wiele szkody zostały zajęte— i nie chcąc odstąpić już Noemi i Maryanny, szli za niemi aż do domu, gdzie opowiedzieli całą prawdę staremu Beniaminowi. Biedna Noemi, nie będąc jeszcze chrześcianką, musiała jednakże opłacić już gorzkiem cierpieniem tę chwilę rozkoszy duchowej jakiej doznała. Dziadek ciężkie robił jej wyrzuty — zagroził nawet karą na przyszłość za nieposłuszeństwo, i nigdy nie widziała go jeszcze tak surowego i strapionego jak tym razem.

Nazajutrz rano zapłacił szkodę przez owce poczynioną, a wieczorem nająwszy wózek jednokonny, wsiadł do niego wraz z wnuczką i gdzieś wyjechali— później wrócił ale *sam*, był smutny, zgrzędny i na ulubioną basetlę patrzeć już nie chciał, tylko modlił się na brewiarzu i korzył przed Bogiem nieustannie, jakby go przepraszał za jakieś ciężkie wykroczenie—nareszcie zaniemógł na zdrowiu, i po niedługiej chorobie żyć przestał.

Tak więc biedny Władysław wakacye te spędzał pomiędzy dwoma smutkami, boleśnie kłującemi młode serce nieprzywykłe jeszcze do cierni życia; jeżeli bowiem nie mogąc znieść widoku częstej bytności pana Alojzego w Miodowej, jego ciągłych grzeczności, przymilań i nadskakiwań dla Emmy, wybiegł ze strzelbą w pola lub na góry, alboliteż błądził wieczorem po samotnych chodnikach wierzbowych nad stawem w ogrodzie; stawał mu przed oczyma obraz zniknionej bez wieści Noemi, i jeszcze większą goryczą napawał zbolałe już serce, nie wiedzące wcale o tem, że to cierpienie było li wstępem a raczej przygotowaniem tylko do przejścia z życia poezyi w życie istotne, gdzie *miłość* którą *świat stoi* spoczywa nie na różach, ale na poświęceniach, a jej *trofeami są ofiary!* Te zaś acz z pieluch zaledwo otrząsającego się młodzieńca, czekały już, jak to wkrótce zobaczymy, w bardzo zbliżonej perspektywie.

Władysław po tej pierwszej próbie życia spoważniał jakoś na duszy i na ciele— za powrotem do Krakowa, przedsięwziął szukać w pracy pokrzepienia, i oddał się z całą uwagą poważnym akademickim naukom. Lecz i tu nie długi czas wolno mu było iść za tym chwalebnym i zbawiennym popędem, bo nad Wisłą zajęczały działa, nie do wiwatów, ale do poświęceń, trudów i zwycięstw wzywające— a nadeszłe znów w lutym święto Konstancyi, tym razem zastało go nie uczącym się ani trzpiotającym młodzieńcem, ale młodocianym mężem, co już trzykrotną odbył walkę o śmierć lub życie,—i z każdej z nich wyszedł zdrów i mężny na duszy i ciele—mądrzejszy o niejedno poświęceniem i krwią zdobyte doświadczenie; a słowa jenialnego wieszcza: *Niech nad martwym wzlecę światem, Kędy zapał tworzy cudy...* pojął już nie samą poetyczną wyobraźnią, ale ujrzał je urzeczywistnione w czynie przez siebie i drugich

Wkrótce i Staś, starszy syn pana Michała, przejęty zasadami Władysława, opuścił gimnazyum potajemnie i przekradł się do niego, na pola walki. Pan Michał przyjął wieść tę z radością, bo on był gotów sam porzuciwszy ważne interesa i gospodarstwo, pospieszyć tam za 15toletnim chłopcem, ale febra czwartaczka męcząca go nieznośnie od późnej jesieni, a której żadnym z używanych środków lekarskich nie mógł się pozbyć stanęła mu na przeszkodzie. Swój więc zamiar tajony był zmuszony odłożyć do wiosny, upewniony przez lekarza, że jej słońce dobroczynne, naj skuteczniejszem będzie przeciw niej lekarstwem Tymczasem wiosna oczekiwana nadeszła, a febra nie ustawała, i coraz więcej ofiarę swoję wysilała; biedny pan Michał niecierpliwiąc się i zżymając jak lew trzymany w klatce, byłby rad przynajmniej mieć co dnia z tamtej strony świeże wieści.— Gazeta Lwowska, czy bardzo homeopatycznie, czyli wcale podobnoś ich nie podawała; zaś zagraniczne niemieckie, niedosyć zapewne były w tej mierze dokładne,— on zaś żyć bez nich nie mogąc, obmyślił i na to środek. Był w ró-

wniach nad Wisłą niewielki folwark do wydzierżawienia. Posłyszawszy o tem, tak słaby jak był, udał się tam, i nie targując się długo i wiele, podpisał kontrakt, złożył roczną ratę, i tam na prędce domek sobie jak można było urządziwszy, przeniósł się z żoną i córką na letnie mieszkanie, niby dla zmiany powietrza, które zbawiennie wpłynąć miało na jego uzdrowienie. W gruncie zaś, nie zmiana to powietrza spowodowała go do tego kroku, ale raczej nadzieja łatwiejszych stosunków z tamtą stroną. Jeden bowiem z nadbrzeżnych tu wiejskich mieszkańców, rybak z powołania, lecz dla nadwerężonej jakimś wypadkiem ręki nie mogący pływać, znający doskonale koryto Wisły, której wody w tem suchem lecie zniżyły się znacznie, przebywał ją wpław tam i napowrót, przynosząc dwa razy na tydzień świeże dzienniki warszawskie na głowie za podszewką kapelusza, żeby nie przemokły, bo niekiedy woda plusnęła mu i do uszu. Oczywiście, że za to poświęcenie a raczej przemysł, nieraz z niebezpieczeństwem życia połączony, nie szczędzono mu za każdym razem sowitej nagrody.

Naraz w okolicy Miodowej zrobił się ruch wielki, zwożono i znoszono ze wszystkich dworów, pałaców i dworków chleb biały, masło, ciasta, zwierzynę i rozmaite przysmaki na jakie dom każdy mógł się zdobyć do okolicznego miasteczka, bo nazajutrz u właściciela, przyjmować miano jenerała Dwernickiego z całym korpusem, który przyparty przez nieprzyjaciela, w braku czynnego udziału Wołynia, wszedł do Galicyi, i tu konwojowany przez dwu oficerów od huzarów węgierskich, udawał się na miejsce przez rząd krajowy wskazane, do Berna. Szlachta zjechała się licznie na przyjęcie walecznych rycerzy. Pan Rawski dla słabości nie należał do ich grona — nie mógł jednak przemódz na sobie, żeby nie być tam wcale; a zatem po obiedzie przybył na chwilę, przywożąc jenerałowi świeże gazety polskie, i tą niespodzianką, niewypowiedzianą sprawił mu oczywiście radość. — Jenerał na odjezdnem, żegnając serdecznie pana Michała, odjął dwa buliony od szlif swoich, dymem dział okopconych, i ofiarował je żonie i córce jego. — Pomiędzy starszymi obywatelami, przyjmującymi waleczny pułk Dwernickiego, pan Alojzy będący zawsze na wyjezdnem za Wisłę, nie wahał się pokazać i znosić mężnie drwiące przygryzki młodych bohaterów, — a gdy w kilkanaście dni później napisał list do Emmy z oświadczeniem, pewnym będąc jej wzajemności w odpowiedzi otrzymał kartkę, owiniętą w miejsce koperty w skórkę zajęczą i z temi krótkiemi słowy: „Droga do ręki i serca mojego tylko przez Warszawę.“

Mimo pocieszających dosyć dalszych wieści od Wisły, które na humór słabego pana Michała wpływały tak silnie, jak na barometr deszcz albo pogoda, zmiana powietrza nie pomogła do zdrowia, owszem w sierpniu pokazało się, że mgły nocne ciągnące ponad wody a przytem niskie położenie tej osady, umacniały febrę i nadawały jej charakter gastryczny; — a więc znów lekarz uznał potrzebę powrotu w góry. Wyjeżdżając do Miodowej państwo Michałowie, tak się urządzili: że posłaniec od nich idący dwa razy w tygodniu odbierał potajemnie od wodnego Merkura depeszę, i nocą wracał z nią do Miodowej o mil kilkanaście.

Było to między połową a początkiem września, kuryer od Wisły jakoś nie nadchodził, pan Michał wyglądając go niecierpliwie, niepokoił się bardzo, czy tam coś złego nie zaszło. — Wtem zajeżdża pan Alojzy, gość najmniej spodziewany, i nie zważając ani na słaby stan zdrowia pana Michała, ani na tkliwość serca niewiast, wytrząsł jakby z worka jednę wieść przerażającą za drugą: że Warszawę wzięto szturmem— że Staś syn ich zginął pod Międzyrzycem! — Emma słysząc to zachorowała na serce — ojciec pożółtniał jak cytryna i rzekł: Ha! spełnił swą powinność jako nieodrodny syn ojczyzny! a po tych słowach odwrócił się plecyma do Alojzego, i więcej nie przemówił do niego, na znak wzgardy, jaką był dlań przejęty,— ten zaś zadowolony wykonaniem swej zemsty za doznaną od Emmy obelgę, wyniósł się bez pożegnania i troski o smutne skutki, jakie wieści te jego i złośliwość wywrą na znękaną rodzinę.

Pani Rawska użyła całej mocy duszy ufającej chrześcianki, ażeby te dwa naraz ciosy znieść spokojnie i boleść swą głęboką poskromić, bojąc się rozdrażniać jeszcze więcej cierpienie męża graniczące z rozpaczą — ale siły jej ciała nie dotrzymały mocy ducha; a gdy w nim ból nad klęską narodu tłumił nieszczęście własne, serce jej przenikała zarówno boleść matki i Polki — i zdrowie nadwyrężyła na długo. Smutek czarny ale spokojny osiadł w białym Miodowieckim dworku, a we dwa dni cisza jego ponura przerwaną została nadchodzącemi co chwila żołnierzami Romarina, który zamiast poprzeć nowem męstwem i niezużytemi jeszcze siłami swego oddziału upadającą sprawę, głuchy na wołanie i przekleństwa gotowych jeszcze do walki i poświęceń wojaków, wolał ohydnie schronić się do Galicyi, przeprawiając się przez Wisłę pod Niepołomską puszczą. Niektórzy z tych walecznych niedobitków, po kilkodniowym wypoczynku, ugoszczeni i odziani, jechali dalej wracając do rodziny, inni z dalszych prowincyj rozbierani po dworach okolicznych, tu na dłużej się lokowali, a z ich przybyciem szerzyła się oświa-

ta narodowa, znajomość dokładniejsza i rozmiłowanie się w historyi, w poetach ojczystych, i rozmaite zasady polityczne, których wynikiem późniejszym było zbliżenie się do ludu wiejskiego, przyznanie mu choć w części praw człowieczeństwa, i złagodzone z nim postępowanie — w wielu jednakże miejscach posunięte do bezowocnej a nawet szkodliwej przesady.

Pan Alojzy od ostatniej bytności swojej w Miodowej, już się tam oczywiście nie śmiał więcej pokazać, a poniżające go w oczach własnych tchórzostwo i obojętność dla sprawy ojczystej, po jej upadku starał się zatrzeć hojnem goszczeniem u siebie emigrantów, propagowaniem literatury narodowej i nowych mnożących się pism demokratycznych.

Władysław jako waleczny oficer krakusów, wkroczywszy do Prus z korpusem Rybińskiego, ztamtąd wraz z innymi wyszedł do Francyi, i dopiero we dwa blisko lata otrzymano nie bez trudności pierwszy list jego w Miodowej. Nie dano mu też czekać długo na odpowiedź, lecz ta nie mogła niestety! pocieszyć serca jego skołatanego nieszczęściem narodu, tęsknotą za krajem i trudami wygnania.

Emma odpisując donosiła mu, że ukochany przez niego i szanowany powszechnie stryj jego, już od półtora roku nie żyje — że pani Rawska nie pocieszona po jego stracie, podupadła na zdrowiu i na umyśle — że matka jego (Władysława) utraciwszy emeryturę pobieraną od rządu Król. pols. mieszka z niemi, ale porażona na rękę pisać nie może, tylko przez nią przeseła mu macierzeńskie uściśnienia i błogosławieństwo — że w domu ich bawi emigrant młody, Litwin, człowiek światły, miły i poczciwy, który prowadzi interesa i wyręcza matkę jej w zarządzie, a przytem wywiera wpływ nie mały na reformy i przeobrażenie społeczne okolicy— że o granicę zwiększa się z dniem każdym ucisk i prześladowanie.... W końcu zaś listu był przypisek stryjenki, gdzie mu donosi: że Witold T. bawiący u nich oświadczył się o rękę Emmy, — że przekonawszy się, iż on kocha ją szczerze, i jej też nie jest obojętnym, a przytem charakteru nieposzlakowanego, zamyśla zezwolić wkrótce na ich związek, widząc w nim przyzwoitą opiekę dla Emmy i małoletniego Emila na wszelki wypadek... Dalej pisała jeszcze: Smutne to czasy, ileż to rodzin osierociałych! Jedni padli, drudzy skazani na tułactwo — gdybyście choć wy powrócić mogli rychło do nas.—Po wojnie przebyliśmy już głód, cholerę,—straszne to na kraj klęski! a kto wie co przyszłość jeszcze nam gotuje?....

Władysław, jak odebraniem tego listu ucieszył się w pierwszej chwili, tak po przeczytaniu go kilkakrotnem posmutniał jeszcze więcej jak przedtem, i uczuł, że przywiązanie jakie miał dla Emmy nie było li przywiązaniem brata. Żebyśmy rychło powrócić do was mogli?.. mówił on sam do siebie; o, to nie nastąpi tak prędko! Myśmy nie po to skazali się na cierpienia wygnania, żebyśmy powrócili za chwilę z próżnemi rękami, prosić się podle o to, czem samiśmy wzgardzili — nie przyszłość nam, lecz my raczej zgotujem sobie tę przyszłość i będziemy jej panami! Sprawę naszą zaniesiem przed trybunał ludów Europy — one to pospieszą upomnieć się o krzywdy nasze—wreszcie lud nasz własny pomści je i otworzy nam drogę do ojczyzny, do swobód wspólnych i wolności!. Tak marzył młody Władysław—takie nadzieje mieli wszyscy współtowarzysze jego wtedy, nie przeczuwając nawet, że wiatry przez długie, zbyt długie lata, roznosić będą skarg tych echa po puszczach szerokiego świata — że w miejsce czynnego współudziału znosić będzie trzeba poniewierkę, potępiania niesłuszne, upokorzenia od obcych, a obojętność i zapomnienie w części od swoich; że w opustoszałym domu brat zapoznawszy brata, rękę Kaima nań podniesie — że przybysz rozkrzewiwszy się w chacie, urągać będzie nieszczęściom rodziny—że nakoniec w tem szamotaniu osłabli, straciwszy równowagę, jak dziecię lalką cieszyć się i łudzić będziem od czasu do czasu połyskiem słońca, co na chwilkę zwodnicze ukaże nam promienie z za obłoku po to, by potem schowało się na długo, za czarniejszą jeszcze chmurę! A wreszcie jak niewolnicy Babilonu, łez już nie mając, pieśnią wygłaszać będziem ciężkie żale, i słać je ku niebiosom, a niebo nieporuszone zda się dla nas zamknięte. — I pocóż te wysilenia? te ofiary? te pieśni krwią okupione? to oglądanie się na przyszłość? która zawodzi tak srodze i po tyle razy?..mówi rozsądek i doświadczenie.

Niemowlę w kołysce — odpowiada z drugiej strony głos jakiś silny wewnętrzny: niemowlę w kołysce choć niepojmuje śpiewów nianki, przecież słucha ich z lubością i zasypia przy nich słodko—one to we śnie i na jawie brzmią w bezwiednym umyśle potąd, ton po tonie, i ciekną w serce słowo po słowie, aż naraz dziecina przemówi niemi sama. Wyśpiewawszy zatem niemowlęciu w chacie przeszłość jego, wyspowiadawszy chórem Ojcu tam wysoko bóle własne i potrzeby, nie uprzedzać wyroków Jego, ale zdawszy się nań jak dziecię na matkę, czekać jeszcze spokojnie, cierpliwie i mężnie, nie oglądając się na łątki i piękne cudze obiecanki, szukać sił w sobie, wysnuwać je ze siebie i umacniać, milczeć i pracować nie ustając, choć ręce trętwieją—a duch Boży co w swej dłoni trzyma losy wszechświatów i urządza bieg planet, i na naszę zstąpi ziemię, a za-

stawszy każdego czysto i trzeźwo czuwającego na kresach, tam gdzie miał wskazane — stoczy *sam* walkę ostateczną z duchem ziemi — palec Jego uczyni ład na jej powierzchni, odłączy od samorodnego i ważnego ziarna chwasty zatrutemi naniesione wiatrami, wytknie przyszłość i wskaże działanie — a ci co pracują i łakną spokoju w *duchu Bożym*, będą mieli spokój i odetchnienie — i w serca co płacząc *ufają*, wstąpi radość i pociecha! (D. n.)

KWESTA.

Okna świątyni pańskiej kir ciemny osłonił,
Tysiące świateł trumnę otoczyło czarną,
Tysiące widać ludu, a przecież nie gwarno,
Cisza — jakby tam z góry archanioł oddzwonił
Poważną chwilę skonu.— Pod stopami trumny
Płaczące cherubiny koronę cierniową
Ujęły w drobne dłonie — a ponad jej głową
Ofiarna lampa płonie — cyprysów kolumny
Schylają smętne czoła; śpiew zabrzmiał choralny,
Przeciągły, uroczysty — jak marsz tryumfalny
Do pochodu w świat inny.—W świątyni na boku,
Pod strażą czarnych niewiast jałmużnicza taca
Wzywa lud tu zebrany — i każdy się zwraca,
Każdy niesie jałmużnę — a łza błyszczy w oku.—
Zkąd ta boleść ogólna, co tak dziwnie brata
Ostatniego z nędzarzy i bogacza świata,
I dziecinę co ledwo do życia się kwili,
I starca, co już głowę ku mogile chyli,
I niewiastę, co błyszczy strojem i przepychem,
I ubogą sierotę sercem rzewnem, cichem,
I chłopię, i pacholę, i samotną wdowę,
I żołnierza kalekę, co zaledwo głowę
Uniósł z wojennych szranek?. .Do świętej skarbony
Przystąpiła niewiasta – głos ciężko tłumiony
Wyjęknął: „Raczcie przyjąć, ten ot grosik wdowi.“
A bladość ze wzruszenia powlekła jej lica—
I tuż za nią znów młoda zbliża się dziewica,
Niesie srebrną obrączkę: „To mój skarb stanowi,
Rzecze; raz jeszcze ciśnie pierścień w drżącej dłoni—
Rzuciła — metal łzawym jakimś dźwiękiem dzwoni,
Niby bólu piosenką! Przy ciemnym filarze
Stanął żebrak, kaleka; ze spłowiałej szmaty
Wydobył cztery grosze i składa je w darze,—
Jakże w obliczu Boga ten żebrak bogaty!...
Młodzieńcy, wyrobnicy, to poważne pany,
Przechodzą — znów na tacy mąż pierścień położył,
A przygasły wzrok jego dziwnym ogniem ożył,
Gdy rzekł: „Przyjmcie ode mnie ten pierścień złamany,
„Pierścień to przetrącony na bezbronnem ręku!“
I rzucił — zgroza mordu odbiła się w brzęku.—
Wtem zbliża się dziecina maleńka, ostrożna,
Niesie mały pieniążek — i w objęcia matki
Spiesznie zaraz ucieka—bo zbyt liczne świadki—
Ale dała pieniążek — więc sercem nie dłużna.
O wy święte niewiasty, co uczycie dziatki
Wspólną składać ofiarę u stóp wspólnej matki!
Wam błogiej Bóg dozwoli doczekać siwizny —
W synach, wnukach, ujrzycie podporę ojczyzny...
Rzewny, cudny to widok, łzą oko się rosi,
Serce silniej uderza, głowa na pierś chyli,
Świat zmysłowy już zniknął – a w tej samej chwili
Z otwartych niebios sklepienia
Anioł nadziei zbawienia
Pieśń świętą dla Polski głosi!

J.....P........

Kura na śmieciu.

— Kochana kuro! zaczem to i po co
Grzebiesz w śmietniku zamczyska?
Tu w dzień nie znajdzie włożyć co do pyska,
A ty chcesz znaleźć coś nocą? —

Tak mówił brytan spuszczony z obróży.
A kura na to: Praca mię nie nuży;
Ot szukam sobie na los, na trafunek,
Gdyż bardzo stare to śmiecie.
Tu wygrzebała prababka pierścionek
I za to słynie w gazecie...

— Szukajcie sobie — bo ja nie mam czasu;
Idę, by wilka przepędzić do lasu,
Lisa z kurnika, złodziei od brogów....

— Przepędź też brysiu i archeologów!

L. S.

WZMIANKA HISTORYCZNA

o panu Andrzeju Dubrawskim,

sędzi grodzkim żytomirskim.

Ostatniemi czasy wiele bardzo o Dubrawskim pisano, ale pisano o nim z obłędnych najczęściej podań, wedle różnorodnych opowiadań i wrażeń jego współczesnych: tym sposobem sklejono wizerunek fałszywy, niepodobny zgoła do rzeczywistego pana Andrzeja Dubrawskiego. Andrzej Dubrawski był to mąż godzien ze wszech miar czci i poważania, miłował gorąco dobro publiczne i

prawdziwie był użytecznym krajowi; nadewszystko miał niezłomne przekonanie, niezachwiany charakter, zupełną uległość woli Bożej i co za tem idzie, rezygnacyą niepospolitą; jednem słowem posiadał męstwo ducha, dzisiaj tak rzadkie pomiędzy nami. Pan dużej fortuny, a nie przywiązywał do niej serca, w nieszczęściach ani się zachwiał, ani zasmucił, i tem samem zasługuje już na nasze uwielbienie. Kilka rysów z jego życia odkryją nam jednego z onych staroświeckich ludzi, jakich wydawała ongi Polska, oparta na zasadach wyższych nad wszelkie idee tegoczesne i cele polityczne. Polska w nastroju swoim wysoce religijnym ku chwale boskiej, rozwijała cnoty osobne, arcymęskie i budujące. W panu Andrzeju Dubrawskim został nam poniekąd wzór ich żywy i przykład.

Pan Andrzej Dubrawski posiadał znaczne dobra: w powiecie owruckim za Żytomierzem klucz horoszkowski i w tym kluczu maleńką z dwunastu chat osadę Zubowszczyznę, w której rad przemieszkiwał; oprócz tego, koło Berdyczowa nad rzeką Bystrzykiem klucz rajgrodecki, wielką wieś Frydrów, Klitynkę itp. Zwykle całe lato dla gospodarstwa które namiętnie lubił, przesiadywał we Frydrowie; w jesieni zaś i zimą w Zubowszczyznie oddawał się polowaniu z osobliwym zapałem. Był to najdzielniejszy strzelec swego czasu. Do późnego wieku bezżenny, żył w największem umiarkowaniu i skromności. Zawsze zapracowany, albo zaprzątniony rozwijaniem sił swoich fizycznych, lubował śród pól i lasów pod gołem niebem; nigdy też prawie nie zsiadał z konia. Wiódł żywot w odosobnieniu z kilkoma bliższymi przyjaciołmi, a od publicznych towarzystw stronił. Często tylko XX. Bernardynów nawiedzał, i wiele im świadczył. Nie używał pościeli, latem sypiał na twardej ławie, zimą na skórze niedźwiedziej. Podróże odbywał konno, do Żytomierza, do Frydrowa i do przyjaciół swoich; a nawet dwa razy tak jeździł do Lublina i Warszawy. Nie zajeżdżał nigdzie na noclegi i popasy, chociaż szły za nim bryki z kuchnią i kredensami, ale nad źródłem wody, lub przy jakim miłym strumieniu spoczywał. Zimą także nocował w podróżach swoich na śniegu, skórą tylko przez się zabitego niedźwiedzia okryty. Futra nie znał; nosił pospolicie kurtę szlachecką i na wierzchu z grubego sukna huńkę. W towarzystwie brał strój polski zwyczajny. Pomimo swej zewnętrznej dzikości, zadziwiał rozumem, tudzież żywym, naturalnym i prawdziwym dowcipem. Do spraw publicznych mało się mieszał, wiodąc żywot taki naprzemian koczowniczy, gospodarski, to myśliwski.

Za to lud Dubrawskiego w największym porządku był utrzymany, możny, pracowity i spokojny. Sam dawał wzór z siebie, bo był nieskończenie umiarkowany i trzeźwy; a że z natury był wstrętny wszelkiemu próżniactwu, przeto czuł najgwałtowniejszą odrazę do wszystkich hultajskich nałogów, pijaństwa, kradzieży. Wtedy dla braku policyi w kraju, a poniekąd i z powodu bliskiego Zaporoża, przy silnej oraz ze strony Żydów zachęcie i pobudce, rozboje, kradzieże, hultajstwa, włóczęgi, były się bardzo rozpowszechniły. Każdy narów tego rodzaju pojawiający się wśród naszego ludu, Dubrawski odrazu jakby piorunem przeszywał. Jak spojrzał pan Andrzej Dubrawski komu w oczy, wnet co miał złego w sobie, nie utaił. Pijak, czy złodziej, czy niedbały gospodarz, truchlał przed p. Andrzejem Dubrawskim i zaraz się spowiadał. On nie żałował gorącej kaszy, tak rózgi bowiem nazywał, i pierwszy u nas w rzeczpospolitej zaczął tej kaszy nie szczędzić, acz na dobre. To pewna, że pana Dubrawskiego ludność wiejska stała się najspokojniejszą i najpracowitszą może w całej Polsce, ani też wzięła udziału w ówczesnych ustawicznych rozruchach. Wszystko to działo się przed *rzezią* i w czasie samejże *rzezi*. Pan Dubrawski powstrzymał lud okoliczny. Imie jego już ogólny budziło postrach. Mawiał: „Moszpanie, moszpanie, potrzeba dać przykład z siebie „skromności i umiarkowania, ale i użyć kaszy go„rącej, z cienkich rózek brzeziny płaczącej; taka „kasza sparzy skórę, lecz ciała nie stłucze, zdro„wiu nie zaszkodzi, i owszem pomoże; pohamuje „złe narowy, i człowieka hultaja poczciwym i przy„chylnym uczyni.“ Nigdy nie kazał liczyć razów, ale używał od jednej pary do pięciu par rózg, aż do ich zbicia zupełnego. Wedle miary przestępstw wskazywał na jednę, na trzy, na cztery par, najwięcej do pięciu.— Ztąd to rozeszła się wszędzie pogłoska o jego okrucieństwach. Oświadczył się przytem sam z chęcią poprawy nietylko swoich ludzi, ale wszystkich z całej Ukrainy. Czasy były to straszne, bo Żydzi, szczególniej berdyczowscy, wyszukiwali włóczęgów, hultajów, burłaków i znaczne im pieniądze płacili, za napady na dwory pańskie. Z Zaporoża i zewsząd cisnął się motłoch. Władze miejscowe podejrzanych i niepewnych ludzi chwytały na złodziejstwie, na rabunku, i odsyłały na poprawę do Zubowszczyzny. Był tam upalisadowany zamek i ocembrowana jama jak wieża *in fundo*, do której wrzucano przestępców, i co piątku, przez miesiąc cały i więcej, brali, raczej pożywali gorącą kaszę. Jak wybuchnęła rzeź Żeliźniaka i Gonty przez sześć niedziel trwająca, cała okolica i Ukraina była w największem niebezpieczeństwie. P. Andrzej Dubrawski słynny z tej surowości i tego postrachu między ludem, otrzymał zaraz *jus gladii*. A przecież pomimo swego urzędu, on jeden był co powstrzymywał spółcze-

śnie i rozhukany lud, i okrucieństwa straszne nad ludem. Komendy Stempkowskiego i Branickiego chwytały ludzi i odsyłały do Kodni i do Serbów, kędy exekwowano ich ucinając rękę i nogę. Andrzej Dubrawski sprzeciwił się najmocniej takim środkom pastwienia się. Nigdy miecza, chociaż miał doń prawo, do największych zbójców nie zastósował, ale kaszą, gorącą kaszą ich zmitygował. W gruncie duszy żywił miłość bliźniego i uczucie sprawiedliwości, dla tego nie dopuścił się nadużycia tak wielkiej władzy, jaką miał w czasie tej wojny domowej.¹

W Humańskiej rzezi nie tyle baczyć należy na ruch narodowy *ludu,* ile na związek pomiędzy sobą licznych szajek hultajskich, które popełniały wciąż bezprawia w obec takiej zupełnej wolności jaka w on czas w Polsce panowała. Dubrawski przed niemi się nie uląkł; nietylko że nie ruszył się z miejsca, ale postrachem swego imienia, wylew hajdamaczyzny w okolicach Berdyczowa i Żytomierza zatrzymał. Obok tego jak już mówiliśmy, nie dopuszczał wykonania w całej surowości kar rządowych, nikogo, mając prawo miecza, ani zabił, ani okaleczył. Nie jątrzył się też, ani unosił gniewem na widok nałogowego opilcy lub zaciętego hultaja, i owszem badał, to upominał ich najspokojniej, nie wątpiąc zgoła o możności poprawienia. Tym sposobem słynnych nawet złoczyńców po sześcioniedzielnem lub dwumiesięcznem upominaniu, co piątku przytem kaszą gorącą karmiąc, wypuszczał na wolność skruszonych i całkiem odmienionych. Pod pokrywką tedy nieubłaganej nieczułości, i jak mniemano okrucieństwa, (żył bowiem ciągle wśród krzyku i jęków zgrai uwięzionych), poświęcił się rzeczywiście dla spokojności całego kraju i dla ratunku nieszczęsnych ludzi, którzy będąc zwyciężonymi i tak srodze morderstwem pokalanymi, nie znajdowali już u nikogo litości. Jednem słowem czuwał pan Dubrawski nieustannie, aby rozhukanym namiętnościom i grożącemu niebezpieczeństwu z jednej i drugiej strony położyć raz koniec.

Pan Andrzej Dubrawski lubił leczyć ludzi w różnych chorobach nietylko moralnych ale i fizycznych. Dziwną, osobliwszą miał metodę. Doświadczył, że tłuszcze ze zwierząt, są najlepszem, heroicznem i nieomylnem lekarstwem na rozmaite choroby. Tłuszcz każdego zwierzęcia uważał w związku z jakąś ludzką słabością; przeto wielorakie tłuszcze, wielu chorób, coraz innych, są lekarstwem. Im bardziej gorzkie, iłkie, tem skuteczniejsze; wielką miał ilość tych tłuszczów, po kilka kropel dodając do wódki, leczył nietylko własnych ludzi, ale i cudzych cisnących się doń z dalekich stron. Ztąd urosła baśń, że Dubrawski drze pasy z ludzi, a tłuszcze ich zbiera i pije z wódką.

Pan Andrzej Dubrawski nigdy się nie dopuścił żadnego czynu, któryby uwłóczyć mógł w czem dostojeństwu jego zacnej duszy, a tem bardziej prawości chrześciańskiego charakteru.

Gospodarstwo jego było na owe czasy wzorowe i bardzo staranne; lasy szczególniej najokazalsze. Całe owruckie, zacząwszy od Żytomierza do Mozyru i dalej, było najpiękniejszą puszczą, knieją nietkniętą niemal ręką ludzką. Właściciele nie dbali o dochody z lasów, a czuwali tylko nad tem, aby ich nie rąbano; było bowiem jakieś ogólne rozmiłowanie się w lasach. Dopiero po rozbiorze kraju, pierwszy las czarnobylski Chodkiewiczów zaczęto rąbać, sprzedawać towarne drzewo i robić wielkie zapasy smoły. Za Czarnobylszczyzną poszły w ślad inne dobra. Żydzi ogromne w to wkładali kapitały, i w niewielkiej liczbie lat, wszystek las polski wysłali spławnemi rzekami za granicę. Okrutne to spustoszenie pozbawiło kraj najpiękniejszej jego ozdoby i największego bogactwa. Ze zbytku staropolskiej oszczędności w używaniu i sprzedaży lasów, wpadliśmy w drugą ostateczność nieoględnego ich niszczenia i marnowania. Dziś do tego doszło, że i samo już Polesie jest przetrzebione. Pan Andrzej Dubrawski lasy niezmiernie chronił.

Pomimo to, z rozlicznych innych źródeł znaczne zbierał kapitały. Oprócz, jak to bywało w domach staro-polskich, szacownych składów węgierskiego wina, bogatych w srebra kredensów, znacznej i dobrze utrzymanej usługi, pan Dubrawski zresztą żył skromnie, tak z upodobania jakoteż z zasad i nawyknień. Pieniądze, których zawsze miał pod dostatkiem, rad pożyczał. W pożyczce uważał nie spekulacyą dla siebie, lecz pomoc dla znajomych i przyjaciół. Nigdy żadnego procentu nie brał. „To lichwa moszpanie, niegodna chrześcianina, „jak to ja mam brać procenta, nie przyłożywszy „do tego własnej pracy i staranności? To jedno „moszpanie, czy pieniądze mają leżeć u mnie, czy „u WM. pana, abyś mi je tylko na terminie od„dał.“ Kto mu był akuratnym zawsze, brał jakby u siebie; kto mu nie płacił, nie nalegał, ani też procesu nie rozpoczynał, mówiąc: „Jeżeli nie oddaje, widać że nie może; jak będzie miał to odda, a jeżeli nie odda, to mnie Bóg w czem innem wynagrodzi.“

Nakoniec pan Andrzej Dubrawski, choć w późnym wieku ożenił się z wdową bezdzietną Stecką, Chojecką z domu, córką Kazimierza, a ś.p. Jana Nepomucena wojskiego wyszogrodzkiego posła czteroletniego sejmu rodzoną siostrą. Pan Kazimierz Chojecki, co figurował w czasie koronacyi Matki Boskiej berdyczowskiej i tak silnie obstawał przeciw kolbuszowskiej tranzakcyi, nie dopuszczając rozdziału i rozerwania wielkich dóbr

ordynacyi ostrogskiej, miał dwie córki. Starsza była jak to mówili edukowana, to jest mówiła po francusku, rodzice tem się cieszyli, bo to było wówczas rzadkością. Ale jak zaczęła mówić z JP. Jurjewiczem, jakimś mało znaczącym kawalerem wojskowym, niezrozumiale po francusku, choć w obec rodziców, tak się z sobą porozumieli, że się za tego p. Jurjewicza wykradła, a przynajmniej rodzice na tę partyą, co sobie za niestósowną i nierówną uważali, zezwolić musieli. Rozgniewani, drugiej młodszej córki nie edukowali, to jest nie uczyli po francusku. Była to dama jednak wielkiej pobożności, powagi, cnót i wdzięku. Ubiegali się o jej rękę panowie zamożni, poważani i od przodków osiadli. Pierwszym mężem jej był pan Stecki, drugim pan Andrzej Dubrawski. W całem naszem województwie kijowskiem wielce była poważaną, a szczególnie z dziwnej łagodności, która mile się odbijała przy znanej surowości p. Andrzeja Dubrawskiego. Ale przy właściwej sobie wesołości, całą tak sławną aptekę męża swego, złożoną z wielkich zapasów zgniłych tłuszczów, kazała wyrzucić i zniszczyć. Uczuł to silnie pan Andrzej Dubrawski, niemal zachorował, ale tyle był delikatnym, że nawet nie zrobił wymówki swej żonie. Ludzie powiadali nawet, że odtąd stracił serce dla niej, ale nigdy swego nieukontentowania jej nie okazał. Takie było w owych staroświeckich czasach uczucie uszanowania i delikatności dla dam w domowem pożyciu od ludzi, którzy nie raz z form swoich opinią dzikich i barbarzyńców mieli. *(D. n.)*

Siostra.

Zdarzenie prawdziwe z roku 1831.

Brat poszedł z bronią w ręku, siostra została i gospodarowała. A była to wieś zamożna a panna niewzwyczajona do ciężkiej pracy; umysł i serce były silne: ciało wątłe. Straszna cholera zawitała do wsi, ludzie snęli jak muchy. Rozprężenie i otrętwienie powszechne; słudzy się porozchodzili, tylko dziewczyna służąca jej dotrwała. Boć było słychać grzmot dział a potem i ręcznej broni praskanie; bili się niedaleko!

Pod wieczór jedzie kilku konnych ku dworowi. Biedna dziewica złowrogiem przeczuciem parta, wybiega naprzeciw ku bramie.

Zoczyła i załamała ręce w rozpaczy: — Brat jej, porąbany szablami, krwią własną zbroczony, blady i omdlały, kołysze się na koniu jak nieżywy, a dwu towarzyszów z bronią na temblaku podtrzymują go z obu stron, bo nie ma sił i pada!. Z tyłu kilku zbrojnych z bronią w pogotowiu.

Ranny w sąsiedztwie własnej wsi, prosił braci towarzyszy: Zawieźcie mnie do mego domu! tam niech umrę! siostra mi oczy zawrze!... — Więc go przywieźli a raczej przynieśli, bo jechał oparty o poręcz z bratnich rąk towarzyszów uplecioną i bratnie go z boku podtrzymywały dłonie. Kiedy go składali, nieszczęśliwa siostra z pomocą dziewczyny na prędce usłała mu łoże boleści, a potem z całusem braterskim ssała krew jego. Rannemu ulżyło się, uśmiech błogi zaigrał na bladych ustach... usnął snem spokojnym, a jeżeli śnił, toć mu pewno anieli snów zazdrościli!

Nie odstępowała go nieboga na krok, i oka z niego nie spuszczała, a co chwilę przykładała rękę do serca jego, czy bije? czy nie gaśnie tętno? — Wtem znowu zadudniało na dziedzińcu, dziewczyna służąca wbiega wołając: „Panuńciu! kozacy!“ — nieszczęśliwa siostra przycisnęła dłonią serce własne.

Wchodzą kozacy, setnik młody na czele:

— *Hde toj miateżnik??* — woła czerń dziko: *ha! neudjosz!!*

Tu siostra wybiega do sali i stając we drzwiach przykłada do ust palec.—Musiała wyglądać w tej chwili jak pomnik wielkodusznej boleści, bo czerń umilkła; sotnik młody popatrzył się na nią z zadziwieniem, które wnet przybrało czci znamiona. Za chwilkę nie było kozaków w sali. Na jego skinienie wyszli po cichu, a spłakana służąca poszła z kluczami wydać im jadło, napój i obroki. Sotnik zaś na palcach wszedł za siostrą do pokoju, kędy leżał brat jej uśpiony.—Długo patrzył się w jego oblicze, w ten uśmiech anielski i rzekł: *Praworny mołodec!* — A kiedy nieboga poczęła płakać, spojrzał na nią okiem litości i rzekł: *Ne płacz barynio! Boh tak kazał!* — i wyszedł, bo mu oko wilgło.

Ledwie przyjął cokolwiek strawy. Na sali nocować nie chciał, mówiąc, że nie wypada! Kozakom przykazał ciszę, ale dwór strażami poobstawiał.

Noc była ciemna i cicha, słychać nawet lekki oddech rannego. Wtem zda się biednym dziewczętom, że słychać jęk w ogrodzie, dalej płacz i zawodzenie coraz bliższe: Ach ja nieszczęśliwa! ach ja biedna kobieta! a cóż ja sobie teraz pocznę na świecie, kiedy mi mąż umarł i oboje dzieci...

— Co to?... spytała przerażona dziewica.

— Biedna komornica z za dworu.... pewno mąż jej skończył, bo dawno już chorował,—odrzekła pokojowa.

Siostra rannego zerwała się gdyby natchniona: Wiesz co? możeby można brata mego wynieść i ukryć w chałupie, a nieboszczyka w łóżko położyć?.. on trochę podobny...

—Dobrze panienko! może nam Bóg dopomoże.— I dopomógł Bóg!

Wziąwszy z sobą starego sługę, na którego wierność liczyć mogły, poszły na strych i wyrwały gonty z dachu od ogrodu. Przystawiły drabinkę, zeszły, udając się do bliskiej chaty. Kobiety nie było. Kozacy ją odpędzili aby nie wyrabiała krzyków; więc poszła na wieś między ludzi wylewać łzy i smutek. W chacie leżały tylko trupy chłopa i dwojga dzieci.

Wzdrygnęła się dziewica, lecz tylko na chwilę; bo czemuż nie podoła Polka, jeżeli Bóg serce jej miłością natchnie!

Nie tracąc czasu, przeniesiono trupa do ogrodu popod węgieł dworu, na sznurach od bielizny wyciągnięto go po drabinie na strych i strychem przeniesiono na salę.

Kogo Bóg chce ocalić, ocali! — Kiedy młoda dziewczyna weszła do pokoju i stanęła przed łożem brata, on się obudził, uśmiechnął i za rękę ją lekko ścisnął, witając po imieniu. W kilku słowach wyjaśniła mu rzecz. Nie mógł wstać; więc go podźwignęły, a on z nadmiarem wysilenia wsparty na wiernych rąmionach siostry i służącej, zawlókł się do schodów. Dalej nie mógł. Westchnęły do Boga, i przy pomocy starca na ręku wyniosły go na strych aż do otworu w dachu.

Lecz już zwątpiły o wszystkiem, kiedy jego zostawiwszy, kładły trupa do łóżka, wdziewając nań zbroczoną koszulę i mażąc mu krwią rannego piersi, twarz i głowę.

Omdlałego zaś brata zawinęły i obwiązały w prześcieradła, kołdry i koce, których końce mocno związały sznurami. Sznurami spuściły go po drabinie i zaniosły szczęśliwie do chaty, gdzie mu łoże świeże usłały. Martwe dzieci wyniosły przed chałupę i poleciwszy rannego opiece Boga, wróciły do dworu. Już miało świtać: było na czasie! Więc zbliżyły się do trupa i poczęły płakać i głośno zawodzić.

Zbudzili się kozacy, zbudził sotnik i przyszedł na oświetloną salę.— Przywitały go dziewice jękiem i rąk łamaniem.

On spojrzał, wziął świecę i wołając za sobą starego podoficera, przystąpił do łóżka, i oświecając trupa, rzekł: *Wot, zmer!* — *Zmer!* powtórzył stary, przeżegnał się i szepnął: *Wicznaja pamiat'! neni on! zautra my!*

Wyszedłszy młody sotnik zwrócił się do siostry rannego, spojrzał jej w oczy wzrokiem współczucia ale i wzrokiem który mówił: odgaduję wszystko! — Płaczącą wziął za rękę, ścisnął i rzekł: *Ukojsia barynio! Boh dobry! i ja maju sestru, i onaby mene płakała!.. Boh z wamy!!!* Kazał kozakom wsiąść na koń i pojechali z raportem: „że ranny dziedzic wsi, który się z pobojowiska schronił do własnego dworu, umarł, więc go nie dostawili.“

Wymazano go z listy żyjących, połowę wsi poszło na kaźnię a połowę z chatą za ogrodem oddano siostrze. Od wyludnionej chaty stronili ludzie; więc chory mógł sam spokojnie leżeć dni kilka, zanim go ztamtąd przenieśli do lasu, do wiernego borowego.

Zabiegliwa siostra dostała paszport do Prus na imie młodego małżeństwa, i udając żonę brata swego, przebyła szczęśliwie wraz z nim granicę. Długo mieszkali w Prusach, uchodząc za małżeństwo.

Jak się zowią? niewiem!— Słyszałem rzecz całą z ust wiarogodnych wkrótce po rzezi tarnowskiej; nie powiedziano mi imion, bo się jeszcze wtedy ukrywali. — Janusz może wie! — Bo to była jedna z tych Polek, które on zapewne miał na myśli, śpiewając:

Siostry moje, córy Piasta,
Zkąd to serce w piersi wzrasta?!
Zkąd to czucie wam?!...

S. Morawski.

RÓŻNE RZECZY.

Skończył się karnawał smutnie jak zaczął. Ani skoczne tony balowej muzyki, ani dzwonki czapki arlekina, nie zaśpiewały mu *requiem;* bo i nie było śpiewać komu. Bolesnej pamięci wspomnienia, osnuły kirem żałoby nawet już ostatnie dni jego życia. W tłusty czwartek nie widzieliśmy nawet owego znanego „Babskiego Combru“ — tak głęboko we wszystkie warstwy naszego społeczeństwa sięgnęło poważne i smutne uczucie. Zjazd tylko obywateli na posiedzenia rolnicze, zgalwanizował niejako na krótki czas obumarłe życie naszego miasta, ale ruch jaki ztąd powstał, nie był wcale karnawałowej natury. Mówiliśmy już w przeszłym Nrze *Wieńca* o tych posiedzeniach, które się właśnie wtenczas odbywały. Skreśliliśmy też tam w kilku słowach ich charakterystykę i wrażenie, jakie na nas sprawiły. Radzibyśmy szerzej nad niemi się zastanowić, ale nie mamy po temu ani kompetencyi, ani prawa. Dodamy więc tutaj tylko, że jednym z najważniejszych i najwięcej zajęcia ogólnego budzących przedmiotów dyskusyi były dwa, będące z sobą w pewnym związku wnioski; a mianowicie: jeden żądający wyrażenia opinii Zgromadzenia, co do potrzeby zniesienia zakazu dzielenia gruntów włościańskich; drugi o potrzebie regulacyi gruntów.— Nie mogąc podawać przebiegu całej dyskusyi, którą zresztą ciekawi znajdą w *Czasie*, podamy tutaj tylko rezultata. Co do pierwszego: Zgromadzenie oświadczyło się za zniesieniem zakazu dzielenia;— przedmiot drugi postanowiono oddać pod opiekę i rozstrzygnięcie krajowego sejmu. — Posiedzenia zakończyły się we czwartek d. 27 lutego po południu;— dnia tego z powodu rocznicy jaka nań przypadła, nie było wspólnego obiadu.—W sobotę d. 1 marca miasto dało obiad dla gości z Wielkopolski. — Obiad ten odbył się również na sali hotelu Saskiego, która w dniu tym piękny przedstawiła widok w zupełnej harmonii zmieszanych ze sobą ludzi wszystkich stanów, wyznań i za-

wodów. Wszyscy tam byli reprezentowani — tak ogólną jest cześć dla tych, co tak godnie umieją piastować dostojeństwo rzeczników narodowej sprawy przed kratkami europejskiego trybunału. — Stósowne do okoliczności toasty dodały więcej jeszcze charakteru i świetności tej obywatelskiej uczcie, której miłą pamięć każdy na długo zachował. — Podczas przemowy deput. Niegolewskiego, z galeryi, na którą wstęp tą razą tylko dla samej płci pięknej był otwarty, padł pod nogi mowcy bukiet ręką Krakowianki uwity. Mowca nie omieszkał zań podziękować, a przy tej sposobności wśród grzmiących oklasków skreślił dobitnie obowiązki niewiast polskich. „Jakie wy pokolenie wychowacie, mówił między innemi, taka będzie przyszłość kraju naszego.“ Zakończył oświadczeniem, że bukiet ten jako świadectwo współczucia Małopolanek, odda swej żonie za powrotem do Wielkopolski. — Mowa ta świetnie zakończyła obiad. Dołem grzmiały oklaski i huczne brawa, — górą, z galeryi wiewały chustki, — zapał i uniesienie były powszechne. — Nazajutrz wszyscy goście z Wielkopolski opuścili nasze miasto, pożegnani serdecznie — do widzenia!

Dziś Kraków znów cichy, spokojny, jak zwierciadło wzburzonego przed chwilą jeziora.

Teatr. — W repertoarze przedstawień teatralnych z ostatnich dwu tygodni, korzystną ujrzeliśmy zmianę. Szczęśliwi bylibyśmy, gdybyśmy mogli przypuścić, że na zmianę tę choć w części i nasze życzliwe wpłynęło zdanie. Bądź co bądź, to pewna, że repertoar ów składał się przeważnie z komedyj. Oprócz bowiem *Krakowiaków i Górali* (Części 1szej) widzieliśmy przedstawionę na naszej scenie w tym krótkim przeciągu czasu: *Dziecię szczęścia* komedyą pani Birch Pfeiffer, — *Gwałtu! co się dzieje!* komedyą Fredra, — *Wieniec Grochowy* komedyą Małeckiego, osnutą na treści wyjętej z pamiętników Paska, — *Łobzowianów* komedyjkę Anczyca i *Małżeństwo z rozkazu Napoleona* komedyą z francuskiego. — *Dziecię szczęścia* jest to jeden z szczęśliwszych utworów pani Pfeiffer, komedyjka wcale zręcznie ułożona i mająca kilka scen z miłym efektem. Główną rolę panny de Chateau-Renard odegrała panna Biedrońska z wdziękiem właściwym jej w rolach odpowiadających rodzajowi jej talentu. — *Gwałtu! co się dzieje!* jest to jedna z komedyj Fredry niższego rzędu, zawsze jednak pełna zalet, zdobiących najmniejszy z utworów tego pisarza; pełna dowcipu, rodzimej komiki i ruchu. To też i artyści wszyscy bez wyjątku grali z życiem i prawdą, — i publiczność licznem zebraniem dowiodła, że imie tego ulubionego autora jest i będzie jeszcze długo gwarancyą dla niej przyjemnie spędzonego w teatrze wieczoru, a dla dyrekcyi teatru pomyślnego rezultatu widowiska. — *Wieniec Grochowy* komedya to znana już i z druku i z przedstawień na scenie; jak wszystkie przerabiania tego rodzaju za mało ma akcyi, zawsze jednak wolimy ją niż jaki straszliwy dramat, ruszający się sztucznem, nienaturalnem życiem i do rozpaczy przywodzący artystów i widzów. — *Łobzowianów* któż jeszcze nie zna? Nie jest to w całem znaczeniu tego słowa komedya, ale obrazek złożony z scen żywcem z natury schwyconych. W Krakowie ma on tem większą wartość, że przedstawia typy czysto miejscowe, które znamy, które codziennie spotykamy. Artyści też gotowe mają pod ręką studya do swych ról, i szczęśliwie z nich korzystać umieją. *Łobzowianie*, to jedna z najlepiej u nas przedstawianych sztuczek. — *Małżeństwo z rozkazu Napoleona*, komedya nie nowa, ma zalety zręczniejszych tego rodzaju wyrobów francuskich, choć nie lubimy w niej niektórych scen drażliwego znaczenia. — We wtorek (11 bm.) wystąpiła poraz pierwszy panna Drewnowska, świeżo zaangażowana przez Dyrekcyą uczennica szkoły dramatycznej warszawskiej, w roli *Ritty Hiszpanki*. Był to nietylko pierwszy u nas, ale pierwszy na scenie występ debiutantki. Jest to okoliczność, która na wielkie w obec krytyki zasługuje względy; dla tego też nie myślimy robić pannie D. zarzutów z usterków, które w jej grze na karb nieśmiałości i braku wprawy policzyć można. Owszem panna D. posiada wiele przymiotów, które praca i studya pomyślnie rozwinąć mogą. O ile z pierwszego występu sądzić wolno, role uczuciowe nie będą nigdy polem popisu dla niej, — ale okazała jej i pełna godności postawa, organ donośny i miły, deklamacya wyraźna i dobitna, zdają się przeznaczać ją do ról zupełnie poważnych. — Nie ze stanowiska krytyki, ale jako szczerze życzliwi poczynającej artystce, radzilibyśmy pannie D. aby się starała: o cokolwiek mniej powolną i mniej monotonną deklamacyą — o więcej swobody w ruchach, i o umiarkowanie czasami siły głosu. — Przekonani jesteśmy, że to wszystko z czasem przyjdzie, i powtarzamy, że powyższe słowa tylko jako życzliwą radę kreślimy tutaj. — Oprócz panny Drewnowskiej, spodziewamy się w krótkim czasie kilku innych jeszcze na scenie naszej nowych debiutantów, i w ogóle uważamy sobie za obowiązek oddać sprawiedliwość Dyrekcyi, że o ile to w jej siłach, nie ustaje w swoich zabiegach i gorliwych staraniach, — a zarazem odezwać się do publiczności, zapraszając ją do wytrwania w czynnem popieraniu tych usiłowań. Przy pierwszym występie panny D. spodziewaliśmy się ujrzeć teatr lepiej napełniony.

Wspomnienia z pielgrzymki do ziemi świętej w roku 1859 odbytej — napisał ksiądz Felix Gondek. Mamy przed sobą drugie poprawne wydanie tej książki, — a lubo opisy Ziemi świętej nie są u nas nowością, lubo literatura nasza mieści już w sobie w tym przedmiocie tak znakomite dzieła, jak Pielgrzymka ks. Hołowińskiego, wyznamy jednak, że w wspomnieniach księdza Gondka z prawdziwą rozczytujemy się przyjemnością. Wysoka, pełna wiary i szczerej pobożności, pełna nawet poezyi prostota, dziwnym wdziękiem, dziwną że tak powiemy wonią, otaczają tę niewielką książeczkę. Czytając ją, czuje się człowiek jakoś lepszym, pewniejszym siebie, — ukojenie i spokój wstępują w jego duszę z tych kartek, które zda się zapisała poczciwa ręka, pod natchnieniem ciepłego, kochającego serca. — Ze względu też na tę prostotę, z jaką jest napisana, na to zbawienne wrażenie, jakie po sobie zostawia, polecamy książeczkę tę do czytania dla wszystkich, mianowicie dla młodzieży, a nawet dla ludu wiejskiego. — Wspomnienia swoje i siebie samego, najlepiej charakteryzuje sam autor w przedmowie; oto kilka słów z niej wyjętych:

„Czyli odpowiedziałem wymaganiom, czytelnik osądzi. Atoli uprzedzam go, aby w niniejszej książce nie szukał dokładnego i systematycznego opisu Ziemi świętej — bo go nie znajdzie. Ziemia święta i jej najdroższe pamiątki służyły mi więcej za tło, na którem wyrabiały się myśli, uczucia, uwagi i zastósowania moralne. Te ostatnie sądzę, że czytelnika nie obrażą; albowiem dla miłości Boga przyjąć krótką nauczkę od księdza, który ciałem i duszą tego sobie życzy, aby wszyscy z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił umiłowali Chrystusa Pana — nic nie zaszkodzi.“

Ażeby lepiej zapoznać Czytelników naszych z autorem, dajemy tu parę jeszcze małych z jego książki ustępów. Co tu np. poczciwej prawdy w tem porównaniu, które autorowi jazda koleją żelazną nastręcza:

„Jeszczem nie ochłonął z wrażeń przy pożegnaniu, jeszcze mi dźwięczały w uszach znajome głosy domowników moich i tych, co mię żegnali, a jużci i Kraków za mną i granice jego. Ta jazda koleją, pomyślałem sobie, to istny obraz życia ludzkiego dzisiejszego świata. Nie jeden pędzi w życiu swojem tak szybko, jak gdyby koleją. Niedawno młody, jużci osiwiały, łysy, zmarszczkami poorany, prędko żył, w krótkim czasie dużo ujechał w życiu swojem w rozkoszach światowych, zabawach, lubieżnościach, prędko się przeżył, prędko dobiegł do kresu życia swego—jak jazda koleją. Tak się czegoś gdzieś ludziom z życiem swojem spieszy, chcieliby w jednym dniu i tu i tam być, i wiele załatwić i nic nie omieszkać, tak jak karnawał; bo w karnawał grajek nie próżnuje, a nogi nie wypoczną, a ci co się bawią, chcieliby w najkrótszym czasie wychylić aż do dna pełny kielich uciech i rozkoszy światowej, zanim dzwon popielcowy ogłosi wielki post i pokutę za grzechy, i umartwienie i rozmyślanie nad stanem duszy swojej. Kto to wie, może ten czas w którym żyjemy, jest już karnawałem dla świata, a Pan Bóg w niezbadanych wyrokach i sprawiedliwości swojej, ma w pogotowiu za te zbytki, których dzisiaj podostatkiem na świecie, jakiś rodzaj postu i pokuty i umartwienia na nas grzeszników?!“

Albo ileż tu spokoju, silnej wiary i poczciwego uczucia w tym ustępie, którym autora miniona burza natchnęła:

„Jeżeli mi się teraz w domu przypomni ta burza, dziwię się sam w sobie, jak ja byłem natenczas dosyć obojętnym, chociaż każda chwila niebezpieczeństwem życia groziła. Inni truchleli na samę myśl niebezpieczeństwa, ja zaś z najzimniejszą krwią wpatrywałem się z pokładu w spienione bałwany. Oddawszy się całkiem woli Boga, pomyślałem: Zginę! i cóż mi się złego stanie, skoro idę za wolą Najwyższego? Nic mię nie wiąże do świata; dawno już zerwałem wszystkie łańcuchy, ba nawet nici, które mię z nim wiązały— jestem sam— sam jeden — jedyna siostra szczęśliwem małżeństwem na przyszłość już zabezpieczona—czegóż mam żałować? Chyba jeszcze tej ziemi rodzinnej, której przypomnienie zawsze mi jest najmilszem wspomnieniem.“

A jak wam się podoba następująca przypowieść?..

„Dziwno jest częstokroć myśleć, jak Pan Bóg tych, którzy Go najmniej miłują, którzy prawie Nim gardzą, obsypuje najhojniej największemi bogactwy, gdy tymczasem tych, którzy są prawdziwymi synami jego, którzy w Nim i dla Niego żyją, ludzi rzetelnych i sprawiedliwych, pozostawia w ubóstwie.— Dziwno myśleć, lecz nie trudno wyrozumieć: W nowy rok gospodarz wypłaca czeladź, jego dzieci patrzą na to, przykro im trochę, że ich ojciec czeladzi tyle pieniędzy wylicza, a im nic. Ojcze! rzecze syn, my cię prawdziwie miłujemy, wiernie dla ciebie pracujemy, a nigdyś nam tyle pieniędzy nie wyliczył, ile tym ludziom, którzy nie z miłości tylko dla zapłaty u ciebie służyli. Na to ojciec: Wy jesteście synami moimi, ja was więcej miłuję; kiedy dojdziecie do lat, uczynię was dziedzicami majątku mojego, uszczęśliwię was na zawsze, tych zaś chcę odrazu wypłacić, abym ich na zawsze wykluczył z dziedzictwa mojego.— Osądź, czy lepiej, żeby nas Pan Bóg zaraz, to jest na tej ziemi wypłacił, czy też poczekać na dziedzictwo? — Te były myśli moje, jadąc przez przepyszną dolinę Zabulon.“

A to czyż nie piękna i nie pięknie wyrażona nauka? Nie nowa, powie kto może — ale cóż nowego pod słońcem, a mimo tego iluż to z nas o niej nie wie, czy nie pamięta?...

„Mądrości światowa! gdzieżeś jest? Lud prosty cię zawstydził, bo on zna i wie o źródle prawdziwego szczęścia, a ty go szukasz tam, gdzie go niema. — Nie zaspokoisz pragnienia duszy twojej rozkoszami świata, nie osłodzisz dni życia twego niemi, bo one są jak te bańki z mydła, któremi się dzieci bawią—wierzchem na chwilkę połyskujące, w środku próżne,— rozprysną się, znikną i pozostanie z nich nieznaczna kropelka brudu mydlanego — i nic więcej.— Winem pragnienia nie zagasisz, i owszem, czem go więcej pić będziesz, tem większych cierpień pragnienia doznasz; lecz wodą z żywego źródła pokrzepisz się i wlejesz życie w siebie. Chrystus Pan jest tem żywem źródłem życia dla duszy, a kto się z niego napije, pragnąć nie będzie na wieki; w Nim, z Nim i przez Niego jest życie, prawdziwe szczęście i rozkosz; prócz Niego i bez Niego, wszystko, cokolwiek ci się zdaje być miłem, zostawia po sobie próżnię w duszy, nudy, przesyt i kupkę brudu, jak po rozpryśniętej mydlanej bańce.“

Wytłumaczenie haftów.

11. Szlak na obrus kościelny lub firanki atłaskiem, zaś liście i kwiaty mogą być tiulem podłożone. — 5. Litery S. M. atłaskiem. — 9. Litera L. atłaskiem wypukłym na poszewkę. — Litery A. P. dzierganiem i ściegiem. — 14. Wstawka do spodnicy lub poszewki, haftem angielskim i atłaskiem. — 16. Litery T. P. atłaskiem podwójnie. — 17. Girlanda na róg do chustki od nosa, atłaskiem i punktami.— 19. Litera Q. na poszewkę atłaskiem i dzierganiem. 21. Kołnierzyk angielski ściegiem szydełkowym i haftem angielskim.— 1. Wstawka do spodnicy atłaskiem i dziurkami. — 9. Lit. A. dzierganiem. — 15. Chustka od nosa, aplikacya i robótki. Ten deseń może być także wziętym na róg poszewki.— 25. Wstawka do spodnicy lub poszewki, atłaskiem i haftem angielskim — 26. Litery M. [illegible]. atłaskiem.— 16. Narożnik do chustki od nosa atłaskiem i dziurkami.—27. Szlak na chustkę od nosa, atłaskiem i dziurkami.

Kroje.

Krój sukni *Princesse*, z materyi popielatej, ozdobionej wodą z materyi czarnej lub też ciemniejszej od koloru sukni. N. 1. Przód.— N. 2. Boczek przedni. — N. 3. Tyłek.— N. 4. Boczek tylny. — N. 5. Rękaw. — Ten krój nie jest zastósowany według długości rzeczywistej, zatem potrzeba go przydłużyć stósownie do osoby, dla której się będzie krajać.

Krój sukni ciemno-brązowej z pelerynką.— Stan i rękawy są ozdobione garnirunkiem z tejże materyi i koronką czarną.— N. 1. Przód.— N. 2. Tyłek.— N. 3. Boczek tylny.— N. 4. Rękaw. -- N. 5. Górna część rękawa. — N. 6 i 7. Pelerynka

GOCZAŁKOWSKA JULIA Redakt. odpowiedz.— Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“ — Rząd. drukarni ANT. ROTHER.